

## Proceduralizm i przemoc

„Nie ma dwóch zdań co do tego, że w życiu narodów są takie wartości, dla ochrony których warto i należy zawieszać moc ustaw. Rzecz jednak w tym, że w dzisiejszej Polsce koncept ten znalazł swoje nowatorskie i specyficzne zastosowanie” – pisze Jan Rokita w najnowszym felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

Dwa lata temu, kiedy na Węgrzech zjednoczyła się lewicowo-liberalna opozycja, i nie było jasne kto wygra następne wybory, pisałem na tych łamach o arcyciekawym i obrazoburczym eksperymencie prawnym, jaki zapowiadali naonczas tamtejsi politycy i prawnicy. Węgierska centrolewica szybko zresztą skłóciła się wewnętrznie na tle tamtego planowanego eksperymentu, co przyczyniło się do jej późniejszego fiaska wyborczego. Eksperyment miał polegać na tym, iżby bez wymaganej konstytucyjnie większości ogłosić uchylenie węgierskiej konstytucji i całego szeregu ustaw organicznych, uchwalonych w latach rządów prawicy. Rzecz jasna, kolejny sukces wyborczy Orbana sprawił, iż cała rzecz pozostała w sferze polityczno-prawniczych fantazji. Można by teraz zgryźliwie rzec: „a szkoda!”; no bo gdyby sprawy potoczyły się inaczej, to ów europejski eksperyment z uchylaniem mocy prawa, poza wymaganymi ustrojowo procedurami, przeprowadzony by został w Budapeszcie, a nie w Warszawie, jak to się dzieje obecnie. Przy czym na Węgrzech cała rzecz musiałaby pewnie pójść głębiej, niżli to, co obecnie widzimy w Polsce, a to z tego powodu, że w przeciwieństwie do PiS, które rządząc przez osiem lat trzymało się dość rygorystycznie procedur ustrojowych z konstytucji kwietniowej

1997 roku, co najwyżej wykorzystując ich luki, to Fidesz zmienił cały ustrój państwa, nie kryjąc się z tym, że czyni to tak, aby – jak mówił wówczas Orbán – „związać ręce nie jednemu, ale dziesięciu następnym rządów”. Węgierski eksperyment *in potentia* 2022 nie byłby więc całkiem adekwatny do polskiego *in actu* 2024. Ale samo obrazoburcze zlekceważenie świętej – jak się dotąd zdawało – w Unii Europejskiej zasady praworządności proceduralnej, musiałyby łączyć oba przypadki.

## **Jan Rokita „Antyatlantycki zwrot Merza” - felieton o relacjach Niemcy–USA**

Prawdę mówiąc, uznanie supremacji woli politycznej ponad proceduralnym gorsetem jest chyba odwiecznym marzeniem każdej władzy, która chciałaby przecież bez przeszkód osiągać swoje cele. Tyle tylko, że w demokratycznej Europie, po doświadczeniu wykorzystania tak modnych i postępowych u początków XX wieku postulatów tzw. „ruchu wolnego prawa” do zbudowania w Niemczech prawniczej legitymizacji terroru, sam pomysł bardziej „wolnomyślnego” traktowania legalizmu w imię interesu publicznego, uznano za istic szatański. I tak z czasem staropruski, rygorystyczny koncept proceduralnego *Rechtsstaat* trafił do traktatów, stanowiących podwaliny integracji europejskiej. Zaś gwarancją politycznego dlań respektu miały się stać coraz liczniejsze i coraz bardziej wpływowe międzynarodowe sądy i trybunały. Powojenny europejski dogmatyzm proceduralny zmniejszył generalnie pole skuteczności polityki, rodząc zjawisko nazwane „politycznym imposybilizmem”. Za to trybunały, które miały stać na straży sformalizowanego legalizmu, z czasem wyrodziły się – przyznać trzeba, dość nieoczekiwanie – w jurystokrację, przekształcającą ideę *Rechtsstaat* w zdeprawowane narzędzie walki o polityczną hegemonię postępowych sędziów.

Polski kryzys praworządności proceduralnej jest pierwszym w powojennej Europie wstrząsem całego tego systemu o takiej skali. Warto mu się zatem uważnie przyglądać z nastawieniem analitycznym, albowiem – tego już dziś jestem pewien – niesie on ze sobą zwiastuny politycznej przemiany o dziejowym znaczeniu. Z tej historycznej perspektywy dwa aspekty tego kryzysu są szczególnie interesujące, gdyż noszą charakter precedensów. Pierwszy – to zastosowany przez nową władzę w Polsce nowatorski *modus operandi*, który chętnie nazwałbym „ograniczonym stanem wyjątkowym”. Każdy kto liźnął na studiach takich przedmiotów jak analiza polityczna albo filozofia prawa, wie dobrze, iż stan wyjątkowy, rozumiany jako zawieszenie mocy obowiązującej ustaw w imię nadrzędnej „racji stanu”, jest w jakimś sensie naturalnym w polityce prawem suwerena, świadczącym właśnie o jego suwerenności. Nie ma dwóch zdań co do tego, że w życiu narodów są takie wartości, dla ochrony których warto i należy zawieszać moc ustaw.

Rzecz jednak w tym, że w dzisiejszej Polsce koncept ten znalazł swoje nowatorskie i specyficzne zastosowanie. Jak pokazuje sprawa radia i telewizji, został on użyty właśnie w sposób ograniczony do jednej ustawy (o mediach), której moc jeden z ministrów zawiesił tylko de facto, bez proklamowania tego de iure. A na dodatek bez powołania się na jakąkolwiek „rację stanu” (zasadną, czy nawet tylko wykoncypowaną), ale ze względu na zwyczajną i dobrze znaną we współczesnej demokracji okoliczność kohabitacji z nieprzyjazną politycznie głową państwa, dysponującą prerogatywą wetowania aktów ustawodawczych. Nowatorski koncept ograniczonego stanu wyjątkowego jest więc w istocie ustrojowym pomysłem na zawieszenie jednej z konstytucyjnych prerogatyw głowy państwa, czyli krokiem o charakterze – co tu dużo mówić – skrycie rewolucyjnym. Zresztą niemal

równocześnie zawieszona została inna prerogatywa głowy państwa – prawo łaski, tym razem w odniesieniu do przypadku skazania przez sąd dwóch posłów. Dlatego właśnie tak doniosły jest upór głowy państwa w odmowie uznania obu tych aktów, gdyż to byłoby formą ich politycznej i prawnej konwalidacji.

Precedensowy aspekt drugi – to nieznany dotąd, i to (na ile sięga moja wiedza) w horyzoncie całej europejskiej nowożytności, przypadek zakwestionowania mocy prawnej kluczowych instytucji ustrojowych jakiegoś państwa, w tym powołanych na mocy jego ustawodawstwa sądów, teraz proklamowanych „nie-sądami”. Warto ze szczególną uwagą przyglądać się skutkom tego precedensowego faktu, tak w jego wymiarze krajowym, jak i międzynarodowym. I trzeba tu mieć krystaliczną jasność oglądu: coś podobnego nie przydarzyło się nikomu – ani sądom III Rzeszy w procesie denazyfikacji, ani sądom ZSSR, czy państw satelickich, po upadku komunizmu. Ani w Norymberdze, ani w Hadze, ani w żadnym innym trybunale, nie przyszło nikomu do głowy, aby nazistowskie czy sowieckie sądy uznać za „nie-sądy”, a ich wyroki zbiorczo za nieistniejące. Zaś w Polsce, nawet najdalej idący projekt KPN, proponujący zerwanie ciągłości państwowej wobec PRL, również nie zakładał potraktowania sądów stalinowskich *per non est*, a tylko tworzył procedury unieważniania ich wyroków. Rozmach ataku na praworządność proceduralną, z jakim mierzy się teraz państwo polskie, jest w tym sensie zjawiskiem nowym i wyznaczającym jakąś całkiem nową epokę na naszym kontynencie.

### **„Z podbieszczadzkiej wsi” – felietony Jana Rokity (lista)**

W sławnej apologii przemocy, jaką przed stu laty była książka Georges'a Sorela, autor kpił sobie z „beczącego stada moralistów uznających za dogmat tezę, iż wszelka przemoc to zło”. Wszelkiej maści

rewolucjoniści zawsze bronili etycznego wymiaru przemocy w polityce. Nigdy nie podzielałem ich zdania, skłonny ufać raczej intuicji Maxa Webera, iż niezależnie od tego czemu przemoc służy, odwołanie się do niej w polityce oznacza wejście w pakt z diabłem. Tyle tylko, że – niestety – polityka odrzucająca wszelkie paktowanie z diabłem zbyt łatwo wyradza się w pięknoduchostwo. Tak, to jest w moim przekonaniu truizm, że poza siłą i przymusem, który jest groźbą siły, polityka nie istnieje (i stąd - nawiasem mówiąc - biorą się nieprzewyciężalne rozterki chrześcijanina w polityce). W każdym jednak razie liberalny proceduralizm, jaki zaordynowała sobie po II wojnie światowej demokratyczna Europa, miał minimalizować strefę przemocy w polityce.

Albowiem w gruncie rzeczy, jedynym politycznym sensem, jaki mają staropruskie procedury *Rechtsstaat*, przy swoich niezliczonych wadach, jest zastępowanie przemocy, a tym samym pośrednio – ochrona wolności. Nie należy więc żywić żadnych złudzeń: wszędzie tam, gdzie proceduralna praworządność załamuje się, i to na dodatek – jak obecnie - w majestacie politycznego uznania, w jej miejsce musi wkraczać przemoc. Proceduralizm i przemoc toczą bowiem ze sobą na przestrzeni historii klasyczną grę o sumie zero. Dlatego to właśnie z perspektywy dzisiejszej Polski widać tak dobitnie, jak dopalają się zgliszcza sponiewieranej już zresztą od dawna Fukuyamowskiej utopii liberalnego świata bez przemocy. I jak wali się w kupę potłuczonego szkła jeszcze niedawno kultowy Sloterdijkowy „kryształowy pałac”, jako model urządzenia Europy podług miękkich politycznych wartości. Wszystko to kształtuje nową, jeszcze nieznaną nam polityczną epokę, która – jak zwykle w ciągu ostatniego półwiecza – znów u licha, nie wiedzieć czemu, wykluwa się w Polsce.

*Jan Rokita*